



Józef Ignacy Kraszewski
(1812 — 1887)

Krajobrazy (1856)

I

Trzeba być trochę ślepym lub bardzo uprzedzonym, żeby nie widzieć piękności, w jakie kraj nasz obfituje. Mówię tu szczególnie o krasie, jaką Bóg obdarzył. Ale najczęściej piękność tę poczuwać zaczynamy, gdy ją stracimy z oczów, i trzeba jej pozbyć, żeby ją ocenić; oczy i serce się z nią i ślepe się stają, wspomnienie i żal, potężni artyści, stawiają nam ją dopiero w świetle ideału. Dotąd tak mało się poznano na kraju naszym, że pewno tylko uprzywilejowane niejako strony jego ziały artystów chętnych, co je odwzorowywali. Dolina Ojcowska, Pieskowa Skała, okolice Krakowa, część Galicji z łaski A. Lange, który pierwszy piękność jej zrozumiał, powtarzają się najczęściej; Tatry wreszcie pierwszy raz pojęto żywo i oddano wiernie przez Głowackiego. Nad to dotąd nic prawie nie widzieli pejzażyści nasi. A i tu, szczerze powiedziawszy, dopiero w ślad Vogla i Richtera, za mistrzami uczniowie na ich sposób poszli się przypatrywać naturze, ich ręką niemal zowadzeni postępowali ostrożnie, powoli, niewolniczo, do pojęcia piękności własnej ziemi dochodząc przez naśladowanie.

Jeden z tych, którym kraj nasz największą winien wdzięczność za złyściczne odtworzenie swych pomników i ciekawych widoków, był właśnie wspomniany Z. Vogel, niezaprzeczenie w swoim rodzaju prawdziwy mistrz, szczególnie w pierwszych planach pejzażu, gdyż rozległych widoków unikał; mistrz w obraniu punktu do skreślenia krajobrazu i z niesłychanym smakiem umiejący stworzyć z garści ruin, płotów i ziela całość ujmującą wdziękiem malarskim i nowością efektu, na ostatek artysta pełen stylu. Figury jego są mniej niż słabe, niekiedy uderzające nieproporcjonalnością, ale też podrzędną bardzo grają rolę w pejzażach i są widocznie rzeczą dodatkową: za to ruiną, architekturą drzewa, zarośla i najdrobniejsze szczegóły upoetyzować umiał Vogel, nie zmieniając natury, z prawdziwym talentem. To, co Frey sztychował z niego daje całej miary artysty. Mnóstwo rysunków mamy po zbiorach prywatnych, które dowodzą lepiej, jak uposażony i ukształcony był ten człowiek, za lekko dotąd ceniony u nas.

Niechybnie jemu i Smuglewiczowi, mniej jeszcze nadeń z tej strony znanemu — bo całe jego *Album* pejzażowe, prócz kościółka sw. Anny w Wilnie, w tece nie wydane zostało — winniśmy niemal pierwszy krok zrobiony w pojęciu piękności naszej rodzinnej ziemi; ale Vogel i Smuglewicz ze względu na wiek, w którym żyli, choć czasem pojęcia jego prześcigali, nie mogli się całkiem uwolnić z tego, co naówczas za prawidło kompozycji pejzażowej uważano. Wybierali więc najpospoliciej ruiny, gmachy, pomniki miast, a wsi i naszej dzikiej natury nie tknęli się prawie. Z dawniejszych od nich i im współczesnych wspomnieć tu jeszcze powinniśmy naprzód wygnańca Teodora Lubienieckiego, którego kilka sztychowanych pejzażów nic krajowego nie mają; Norblina, czasem wybornie chwytającego chatki i karczemki, jakich kilka jest w jego dziele sztychowanym; Richtera wreszcie, który miał uczucie piękna, ale patrzył przez okulary XVIII w. na naturę. Opuszczam wiele próbek mniej znaczących, bo nie myślę tu pisać historii tej gałęzi sztuki w kraju naszym i przeskakuję do Głowackiego, który lepiej może, bo prościej od innych pojął Tatry i cudnie je odtworzył. Ale ten sam Głowacki jeszcze, z lada chatki, półka, płotu i pospolitszych danych nie umiał zrobić obrazu, potrzeba mu było gór, panoramy wielkiej, perspektyw rozległych. Zdaje mi się, że Calamowskie wytłumaczenie kraju naszego dotąd pozostaje do życzenia. Tu i ówdzie widzimy próbki szczęśliwe, ale nikt nie ma odwagi szukać w najprostszych przedmiotach elementu charakterystycznego obrazu. Wielu, jako akcesoryjną rzecz, dosztukowują pejzaż do kompozycji; inni nie widzą, co z sobą począc, gdy im przyjdzie z płotu, gruszy, wrót, kołków, stworzyć żywą i coś mówiącą całość. W tym rodzaju niektóre próby u Dmóchowskiego z Wilna, Białowieska Puszcza jego, chata wieśniaka litewskiego są bardzo zastanawiające. Ale wszystko to jeszcze nie to, czego-byśmy pragnęli. Jak Calame ze swej sosny, skały, szałetu tworzy cały poemat, czyżbyśmy i my z chaty, lasu, wzgórza i drzemiącej wody nie mogli go także utworzyć?

Powiecie mi zapewne: to Calame i Szwajcaria! Tak! Calame! ani słowa! Co się tycze Szwajcarii, piękność inna wprawdzie od naszej, ale śmiem utrzymywać, że i my swoją mamy i niczyjej zazdrości nie potrzebujemy. Zresztą, ten sam wielki mistrz, którego wspomniałem, z powalonej kłody, ruczaju, kilku pni tworzy obrazy olbrzymie myślą i właśnie trzeźwości głównie pozostaje się nam nauczyć od niego. Malarze nasi dotąd zawsze za wiele chcieli robić razem; jeżeli pejzaż przedsięwzięją, radzi by w nim umieścić wszystko i kończy się na tym, że dawszy wszystkiego po trosze, w istocie nic nie stworzą, zabijając jedno drugim.

Wszystko to zależy od artysty; wielki mistrz umie z niczego prawie świat swój wyprowadzić do życia, talencik mały potrzebuje przeciwnie wiele na każdy swój utwór; ilością zastępuje. Jakość, sądzi, że gdy wiele upcha w obraz, da dowód bogactwa kompozycji, ale, niestety, mylnie to przekonanie pochodzi z niewiedomości pierwszych zasad sztuki.

Zawsze nam się zdało i zdaje, że w publikacji *Albumów* naszych krajobrazowych choć naśladowujemy cudzoziemców, nie weszliśmy dotąd na dobrą drogę właśnie dlatego, że ich naśladowujemy. Za granicą bowiem istotnie widoki miejsc charakterystyczne

to są widoki monumentów, pomników, gmachów; u nas te rzeczy, choć piękne ze względu na nasze dzieje i przeszłość, ale z natury żywota kraju, przede wszystkim gospodarskiego i wiejskiego, nie mają takiej wagi. Kto chce kraj nasz odwzorować żywo, musi pójść na wieś, do dworku szlachcica, do chaty chłopka, na zaścianek, nad staw i młynek, do pasieki, pod kościółek stary i dzwonnice zgarbioną, pod figurę w lesie, i tu dopiero znajdzie, odwzoruje, co właściwie jest naszym.

Nie malujemy ani niemieckich po trosze miasteczek, często wcale niepięknych i pospolitych, ani płotów, pod pozorem historii, ale to co odwrotnie piękne, znaczące, charakterystyczne, własne, nasze. Często podwórko włościanina, stodółka jego i chata z brzozą, wrota dziedzińca, ganek z ławami i sad wiśniowy lepiej nam nas samych poznać dadzą niż na przykład jakiś tam park angielski pałacu JW. hr. X.X.X., który się robi dla dedykacji i dogodzenia próżności mniemanego amatora natury. Artysta ma tysiączne środki zrobienia pięknym nawet tego, co nim w naturze nie jest dla oczów pospolitych ludzi, bo on widzi jaśniej i pełniej, miał ducha w sobie; obranie punktu widzenia, oświetlenie, koloryt, pewien styl i wdzięk rysunków zbroją go w środki niewyczerpane.

II

Fałszywe tylko pojęcie tego, w czym leży właściwie charakter piękna kraju naszego, sprawia, żeśmy o nim dotąd ani sobie, ani drugim wyobrażenia dać nie mogli. Jest to tak właśnie, jak gdybyśmy chcąc ubiory krajowe malować, wybrali klasę, która w całej Europie niemal jednakowo się nosi, a nie tę, co się wybitnie odcechowuje od innych. Wszystkie dotąd Albumy przedsięwzięte były w ten sposób i wykonane. Niektórym z nich nic zarzucić nie można; tak na przykład w przepysznej publikacji J. K. Wilczyńskiego, którego przedsięwzięcie olbrzymie epokę w historii sztuki naszej stanowi. Widoki Werek, Czerwonego Dworu, Ostroga, Korca, Kockenhusen, Kamieńca, Zwańca itp., mogłyby być dane za pejzaże z okolic środkowej Europy, Niemiec itp., byłyby za coś tamtejszego, równie jak za nasze; winien temu wybór przedmiotów. Jeden tylko domek w Mereczowszczyźnie ma piętno swojskie, krajowe, choć i to właściwie jest portret budowy, a nie pejzaż charakterystyczny.

Widoków, które by obraniem miejsc i schwyceniem strony malowniczej kraju uderzały, znamy dotąd bardzo mało; i te są rozrzucone w dziełach różnych artystów, jakby na nie przypadkowo trafili. Dziwi mnie to, bo zdaje mi się, że kraj nasz posiada tysiące nowych elementów, nie zużytych, nie tkniętych, które by cudownie użytecznić się dały. Nie ma tu zresztą wydiedziczonej prowincji, nie ma opuszczonego od Boga kątko, wszystkim się coś dostało w podziale; każda kraina ma swoją fizjonomię rodzimą, swój wdzięk, swoje piękno, dające się tłumaczyć w jednych więcej linią, w drugich więcej kolorytem i światłem. Znam wiele stron kraju naszego, a nie widziałem jeszcze kątko, który by nie mógł się stać malowniczym pod ołówkiem lub pędzlem artysty.

Ale natura sama przez się jest martwą lub żywą w miarę tego, jak przeciw niej stoi człowiek, co w nią wzrokiem i duszą wlewa śmierć lub życie. Trzeba pojąć jej poezję, by ją odtworzyć; aby ją pojąć, samemu sobie ku temu wykształcić się należy. Pojęcie zaś piękna w naturze nie jest łatwe, wielostronne jej oblicze uderza różnie artystę; każdy ją chwyta inaczej, rzadko ze strony właściwie charakterystycznej, a tu właśnie od tego wartość dzieła głównie zależy. Większość artystów, wykształcona na dziełach zagranicznych pejzażyistów, zbyt roztargniona, by kraj swój poznała do głębi, chwyta stronę jego powszednią, ogólnik jakiś, poetyzuje go i idealizuje w sposób zacierający piętna i tworzy oklepankę. Dla istotnego poety-artysty z niczego wyrasta arcydzieło, miernemu nic nie pomoże najpiękniejsze zdanie. Ducha w nie tchnąć potrzeba, bo go nic nie zastąpi.

Pejzaż jako utwór sztuki dzisiaj dopiero może pojęty został lepiej i pełniej. Claude Lorrain z konwencjonalnymi drzewy swoimi i włoską kampanią, Poussin z teatralną panoramą gór, Breughel, że nie liczę już Gaspra i szkoły francuskiej w dekoracje w XVIII w. przechodzącej, byli to wszystko pejzażyści klasycyści, którzy z natury chwyтали to właśnie, co w niej było najogólniej pięknego, unikając właśnie charakteru, jakiego my dzisiaj szukamy; poezja prawdy, prawda ideału były im całkiem nie znane.

Indywidualne cechy pejzażu, że się tak wyrażę, zidealizowanie piętn wybitnych, nie obchodziły ich wcale; odwzorowywali szczególnie naturę wielką, heroiczną i w liniach majestatyczności pełnych, ale jednostajnych szukali poezji jej wyłącznie. Ścierali umyślnie, co było powszedniego, nadawali uroczystość jakąś, teatralność, pompe, śpiewali poemat, w którym, jak w wielu poezjach owej epoki, byli ludzie, ale nie wiadomo, jakiego kraju i epoki. Dziś pojęliśmy, że ogromna różnorodność żywiołów malowniczych rozsianych w naturze nie może pójść w nic i zostać ominioną, wyrzuconą bez pożytku na śmietnisko. Sztuka postrzega wreszcie, ile nieskończonych rodzajów piękności natury zobowiązują ją do pełnego różnorodności i charakteru idealizowania wszystkiego, co Bóg dał jako surowy materiał natchnienia; wzgardzić połową swych skarbów było dowodem tylko, że się ich ceny nie pojęło.

Nie same jakieś linie konwencjonalne marzonego świata, nie drzewa i wody abstrakcyjne i w ogólniki przechodzące odwzorowywać tylko trzeba, ale każdego z osobna kątką ziemi tłumaczyć właściwą całość jej niewyczerpanej różnorodności, w której tkwi wszędzie jakiś odłamek piękna, jak słońko w kroplach rosy odbijające się na trawy żdźbiełku.

Równy z tym nowym pojęciem natury zaczęto upatrywać w niej coraz nowsze wdzięki i oceniać to, co wprzód przesuwano się dla nas niepostrzeżone. Ruysdael oceniony został lepiej, zwrócono oczy na pejzażyistów flamandzkich. Vernet stary jeszcze dekoracyjny, ale już pełne prawdy poczynął malować widoki morskie i po XVIII w. nieznośnych komunałach, których uosobieniem jest Bourgeois we Francji i jego współcześni z bladymi swymi willami włoskimi i fabrykami bez końca, Francuzi zaczęli się zbliżać do prawdy, a przez prawdę dochodzić poezji. Dzisiejsza szkoła

pejzażowa francuska, choć nie dosięga jeszcze, czego dojść może, choć za wyłącznie może to kolorytem się pstrzy, to światłocieniem zabawia, a za mało rysuje i myśli, wpadając z naturalności w trywialność, jest już przecie na gościńcu postępu...

Calame, choć nie Francuz, stoi na czele reformatorów; mistrz to nad mistrzami, nie tylko w kompozycji, która jest jego siłą główną, ale w wykonaniu prawdziwie artystycznym, bo umiejętnie poświęcającym dla myśli naczelnej akcesoria podrzędne. Ani Rousseau, ani inni sławni pejzażyści francuscy, ani liczni naśladowcy Calame'a, Hubert itp. po kolana nie dosięgają wielkiemu genewskiemu artyście. Z ręki jego wylewa się poezja strugą szeroką, a każdy jego rysunek żyje i tak przenosi w kraj, którego jest idealnym wspomnieniem, że napatrzywszy się go, można nie podróżować, lepiej już nawet nie widzieć Szwajcarii, boby się suchą i zimną wydała. Choć mało znanego, zacytujemy tu przy nim J.A. Laurensa, autora małego traktatu o pięknie malowniczym, wybornie chwytającego charaktery pejzażu i znakomitego kompozytora, a w architektonicznych widokach Stroobanta.

Najgłówniejszym wnioskiem, jaki się z zapatrywania na dzieła ich wyciągnąć się daje, jest zasada, że wszystko pięknym być może, co tylko dusza artysty podnieść zechce do ideału. Im potężniejszy, większym jasnowidzeniem piękności obdarzony geniusz, tym z mniejszego tworzy. U Calame'a często sine oddalenie, trochę wody stojącej, zielsko nad nią wyrosłe, zgniła kłoda lub czółen rozsypany — to cały pełen poezji melancholijnej pejzaż. A powietrza w nim ogrom, jest czym tchnąć, a szeroki, a wielki, a myśl po nim buja jak w nieskończoności. W pięknym smętarszu Lessinga kilka jodeł osrebrzonych śniegiem, mur kościółka i głąb jego składają pełen niewysłowionego smutku obraz. Dlaczego byśmy u siebie znaleźć nie mogli i nie mieli żywiołów do pięknych arcydzieł? Nie materiałów nam brak, lecz artystów [...]

III

[...] Sztuka nie jest zabawką, ani pejzaż cacką dla dzieci.

Żeby istotnie stworzyć coś godnego nazwiska arcy-dzieła, i nadać temu charakter własny, nie dosyć przebieść kraj i schwycić powierzchowność jego, bijącą w orzy, bez wyboru i zastanowienia; trzeba go poznać głębiej, umilować, wżyć się w jego tajniki, trzeba może zatęsknić za nim, może po nim zapłakać. Naówczas strzeli z serca promień natchnienia i ozłoci wszystko, od drobnej trawki, do płynącej w powietrzu fantastycznymi skrzydlami chmury, i zaśmieją się chatki, i zaszumią drzewa i przemówią omszone krzyże nasze, i rozwidnieją sine horyzonty lasów.

Nie myślę tu wcale przedsiębrać żmudnego wykładu wdzięków niezliczonych, jakie kraj nasz posiada, kraj ze swem niebem chmurnem a tak rozmaitości pełnem, wydający mi się najpiękniejszym w świecie, ale czuję że powołany do odwzorowania go, nie potrzebuje szukać koniecznie Karpatów za tło do obrazu, a majestatycznych rum na pierwsze plany. Obok poematu heroicznego śnieżnych Tatrów,

jest pieśń, którą nucą rzeki sine, jest urocza bajka, którą szumią nad mogiłami lasy nasze, i śmiejąca się na podwórkach chat piosenka.

Jakiż to pejzaż naprzykła, stworzyłby drugi Calame z Wisły pod Bielanami, odrzuciwszy nawet

kościółek, klasztor, mury, z samego tylko urwiska, kilku sosen, ławy piasków, zielonych zarośli na kępach, wody szeroko rozlanej i szeroko rozpiętego nieba! Wieleż to znowu naszych starych drewnianych kościółków wiejskich, otoczonych lipami wiekowemi, proszą się na płótno i wiele prostych figur naddrożnych, otoczonych smętną, ale nie bez charakteru płaszczyzną, ogromną poezją mówią do duszy. A brzegi Niemna i litewskie lasy, Białowieska puszcza ze swymi drzewy, których wzrost u nas nie ma równego, a cudne, kamienne płoty litewskie i urwiska gliniaste i chaty szare? a teatralniejsze już widoki Podola, z mnóstwem stawów, poprawianych we wzgórza i gaje i jak brylanty świecących; a Wołyń ze swym uśmiechem młodzieńczym i weselną szatą urodzajów; a szumiące borami i tęsknotą Podlasie, a cicha Pińszczyzna, najeżona trzcinami i pośrebrzona wód rozlewem, że pominię już znajomsze okolice Krakowa i inne strony królestwa, często i zbyt wyłącznie powtarzane — nie sąż to skarby dla artysty? Ile materiałów, jakie ich połączenie! ile oryginalności w samych zadaniach! Trochę ducha, a co by z tego wyrosło!! Szukać daleko nie potrzeba, odwrócić się, obejrzeć, popatrzeć oczyma duszy, podumać, przeżegnać się i malować.

[...]

X

Mijam wszystkie gmachy, pomniki architektonczne i wszystko co dotąd stanowiło najpospolitsze zadanie pejzażu, źle pojętego i ułomnie. Co innego bowiem jest piękny, artystycznie wykonany rysunek pomnika, *widok* wiasta, kościoła itp. a co inne *krajobraz* — *widok*, to portret miejsca mniej więcej piękny i wierny, z którego jak z portretu jakiego, Velasquez, Rembrandt, Rubens, zrobi rzecz cudną, a partacz, suchy inwentarz cegieł i gżemsów. Krajobraz to utwór który za zarazem odtwarza myśl Bożą wyrażającą się w naturze, i piękno jakie w niej jest zawarte, odczytane jasno przez artystę, pojętnem czyni dla ogółu, uwydatnia. Zwracam się do wioski jako nietkniętego materiału, a najsubtelniejszej części kraju, który zawsze najgłośniej żył żywotem wiejskim, bo miasta nasze pachły niemczyzną i obczyzną.

[J.I. Kraszewski, *Krajobrazy*, w: tegoż, *Gawędy o sztuce i literaturze*, Lwów 1857, s. 203-218; pisownia i interpunkcja oryginalne]